



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spółt, kwartal. tal. pr. 1
sgr 20.

DO...

O kochaj ty, kochaj, poezją, dziewczyno!
Choć może twe oczy lżą gorzką zapłyną,
Gdy serce ci w piersi goręcej uderzy;
I silniej pokocha, i głębiej uwierzy—
Nie lękaj się przecież: poezya—to pani
Bogata i hojna, do służb jej wybrani
Wspaniałe z jej skarbcza dostają nagrody.—
Że w głębi twej piersi, szlachetny duch młody
Za światłem, za wiedzą, za prawdą się zrywa,
To ona.... ta siła gorąca i tkliwa,
Co w serca twojego wzruszonym drży biciu,
I ogniem, i blaskiem, i ciepłem jest w życiu....
Twój zapał, skrzydłami stający się ducha,
Co, kiedy zpod serca namiętnie wybucha,
To biegłabyś prosto przez ciernie i głogi
Za celem, co wzniosły czyn stawia wśród drogi..
To ona jest jeszcze....

Że pusta i płoża

Nie pójdziesz pomiędzy tłum nizki i mały;
Że dusza twa piękno dostojne pokocha;
Że będziesz czcić mędrce w wawrzynach ich
[chwały;

Że tylko z dobrymi zawiążesz przymierze—
W szeregu szlachetnych dotrzymasz kolei;
Że będziesz rzec mogła: ja kocham! ja wierzę!
Ja serce mam pełne najświętszych nadziei;
Że trudy i troski małe życie żywota,
Gdzieś nisko przy ziemi zostaną dla ciebie,

Gdy w głębi twej piersi żyjąca tęsknota
Wzrok podnieść ci każe za gwiazdą na niebie;
Że mając tam w górze punkt jeden świetlany,
Tu mogłabyś kochać tak – sercem gorącym,
Ażebyś dla drogiej istoty wybranej
Śmierć w łono twe wzięła, choć z ciosów ty-
[siacem:

To wszystko poezyi są łaski i dary!
Jeżeli na ciebie skinęła, dziewczyno,
Jeżeli twym ustom tknąć dała swej czary:
Pij!... z życia napojów, najdroższe to wino!
Marya Ilnicka.

Wrażenia pedagoga w Galicyi.

XVII-te WALNE ZGROMADZENIE TOWARZYSTWA
PEDAGOGICZNEGO W STRYJU.

Poważam się ogłosić światu, że wybiła już go-
dzina, od której innym niż dotąd okiem na Gali-
cyę patrzeć potrzeba; ostatnie wrażenia, tam ze-
brane, doprowadziły mnie do głębokiego prze-
świadczenia w tym względzie, natchnęły odwagą
publicznego wygłoszenia uznania dla tej prowincyi.
Już do przeszłości należą trawestacje: Gali-
leja, Golicya i Głodomorya. Któżby śmiał dziś
twierdzić, jakoby najważniejsza zasługa Galicyi
polegała na tem, że jest niewyczerpaną kopalnią
dla satyrycznych powieściopisarzy i dramatur-
gów; że tylko na galicyjskim gruncie mogły wyro-
snąć takie niezwykłe płody, jak satyry Rodocia,
komedyje Bałuckiego i kroniki Lama? Za-

wstydzi się, toby chciał dziś jeszcze lekceważą-
co odezwać się o Galicyi, tej Galicyi, która rok-
rocznie przysyła do nas misyonarzy oświaty w oso-
bach prelegentów, przemawiających do wszyst-
kich warstw publiczności warszawskiej z ka-
tedry, zbudowanej przez Towarzystwo Osad Rol-
nych; tej Galicyi, która wydała tylu mężów stanu,
tylu mówców publicznych i przygodnych, w któ-
rej się zrodziła tyle głośna hyperprodukcya intel-
ligencji! która wreszcie na dowód, że przyjmuje
wszelkie znamiona postępu europejskiego, tram-
waje we Lwowie i Krakowie zaprowadziła.
Galicya dojrzała, nie potrzebuje już Stańczy-
ków, którzy stracili cel swój i racją bytu, podo-
bnie jak Krzyżacy po nawróceniu się Litwy; drob-
ne dzwoneczki mają wprawdzie jeszcze zastoso-
wanie w tej krainie, ale tylko przy chomątach
koni tramwajowych.

Przychodzi mi w tej chwili, na tem miejscu,
bardzo żałować, że nie jestem statystą, publicy-
stą, ekonomistą, dziennikarzem z urzędu: albo-
biem napisałbym w takim razie cały szereg lub
kilkę szeregów artykułów, odpowiadających po-
wyższym specjalnościom, pobudzając naszych o-
bywateli do rozmyślu i naśladowania. Jako skro-
mny pedagog, na skromnych obserwacyach ze swe-
go zakresu poprzestać muszę; a rozpoczęty już rok
szkolny, przykuwając waszego sługę do taczki peda-
gogicznej, nie pozwalała mu karku odchylić, powie-
rza za swobodnie zaczerpnąć, dać wodzy fantazyi
twórczej i ubrać opowiadania w ozdoby kompozy-
torskie i stylistyczne—aby nie odstraszyło miłych
czytelniczek Bluszcza, zanim poważnie ducha na-
stroją do odczytowego sezonu w naszym grodzie.

Gdybym nie pozował na poważnego i to nawet
(od pewnego przynajmniej czasu) ua bardzo po-
ważnego członka społeczeństwa, opisałbym tu
w stylu poetycznym rozkosze, na wspomnienie
zbliżających się feryi szkolnych; opisałbym po-
spiech gorączkowy, z jakim się pakuje i wyjeżdża
z Warszawy, a wreszcie radość, jakiej doznaje-

my na widok zielonej murawy, i szerszego horyzontu za rogatkami miasta.

Zostawiam to wszystko studentom, i młodzieńszkom, ja zaś, człowiek „wyrobiony“ i jako taki, niezachwycający się niczem zbytecznie, a co najważniejsza, piszący, nie żadne ćwiczenie szkolne, ale specjalnie „pouczające“ sprawozdanie, przystępuję od razu do rzeczy. Wrażenia i okoliczności, jakie towarzyszyły memu wyjazdowi z Warszawy, pobyt i wizyty w Krakowie, podróż do Lwowa, pozostaną w moich pamiętnikach familijnych.

Jesteśmy w Stryju.

Stryj, miasto powiatowe w Galicyi, nawiedzone w roku ubiegłym niszczącą powodzią, otworzyło, mimo to, gościnne swoje bramy pedagogom, zapraszając ich do siebie na siedmnaście doroczne walne zgromadzenie. Od kilku lat rada miasta Stryja wysyłała delegata, który na dorocznych walnych zjazdach po różnych miastach Galicyi zgromadzenie na rok następny do Stryja zapraszał. Ponieważ corocznie Towarzystwo miewało po kilka zaproszeń, wybierało więc te, które były dawniejsze, odkładając nowe do lat następnych. Tak przyszła kolej na Stryj, a było to bardzo na czasie, gdyż w roku bieżącym, w roku dwuchsetnej rocznicy odsieczy Wiednia, w którym szkoła przedewszystkiem zamierzyła obchodzić uroczyste wydarzenie to wielkie w dziejach ludzkości, Towarzystwo Pedagogiczne nie mogło odbyć gdzieindziej dorocznego swego zjazdu, jak tylko w miejscu pamiątkowym, w miejscu, wstawionem przez bohatera zpod Wiednia. Jest przeszło 100 takich miejscowości w Galicyi, a między niemi Stryj pierwszorządne trzyma miejsce. Jan Sobieski, chorąży w kor., otrzymawszy wr. 1660 Starostwo Stryjskie, wydał prawo zasłaniające żydów tego miasta przed nadużyciami. W r. 1681 król Jan bawi z licznym dworem jesienią w Stryju, oddając się ulubionej rozrywce — łowom.

Przypominamy sobie, z jakim ożywieniem zeszloroczne zgromadzenie w Kołomyi uchwaliło następny zjazd w Stryju, przerywając żywymi oklaskami dzielne przemówienie delegata miasta, p. Czesława Pieniążka.

Spodziewano się też dużego zjazdu, a licząc, że ubogie niewielkie miasto Stryj nie będzie mogło należycie przyjąć licznych gości, Zarząd Towarzystwa ograniczył liczbę do trzystu. Zastrzeżenie okazało się zbytecznym, gdyż do uczestnictwa zgłosiło się zaledwie dwieście osób; cóż za różnica z nierównie liczniejszym zeszlorocznym zjazdem w Kołomyi, z zaprzęsłorocznym zjazdem w Krakowie, liczącym kilkanaście setek pedagogów! Uderza taka obojętność członków Towarzystwa, skoro weźmiemy pod uwagę, że ani względy lokalne ani turystowskie nie przedstawiły się mniej korzystnie niż w Kołomyi. Odległość Stryja od Lwowa jest daleko mniejsza, niż Kołomyi, piękne zaś okolice tego miasta, zapowiedziana wycieczka do Morszyna, zwiedzanie tartaków i klauz Kińskiego, a nade wszystko wycieczka w góry Stryjsko-Skolskie, wszystko to powinno było więcej uczestników przyciągnąć. Objaw ten w zupełności licował z ożywionymi rozprawami na posiedzeniach, dotyczącymi reformy walnych zjazdów.

W naszym wieku pary, światła elektrycznego, telegrafów, telefonów i kongressów naukowych, wszystko tak szybko postępuje, że te ostatnie mają już swoją historią. Zjazdy nauczycieli, tak rozpowszechnione w Niemczech, popadały już w jednostronność.

Przekonano się, że niektóre z nich bywały chybione, a przynajmniej niewiele przynosiły korzyści. Nie przynoszą jej przedewszystkiem zbyt teoretyczne, oderwane od praktyki szkolnej i potrzeb miejscowych rozprawy, nie przynoszą jej utyskiwania nad niekorzystnymi warunkami stanu nauczycielskiego, nie przynoszą wreszcie zjazdu o charakterze dekoracyjnym, turystowskim lub gastronomicznym. Gdyby szło o scharakteryzowanie zjazdów galicyjskich, nazwalibyśmy je: *gadającymi*. Kilku lepszych mówców, namiętnych do wymowy, do których i p. Sawczyński, prezes towarzystwa, należy, zabierają zazwyczaj czas, na posiedzenia wyznaczony, — nie dopuszczając tym sposobem innych do głosu. Wyliczono, że na zje-

ździe w Stryju więcej niż połowę całego czasu w ciągu posiedzeń trzydniowego zjazdu zabrał dyrektor Maciołowski z Krakowa. Okoliczność ta nie odejmuje przecież znaczenia zjazdowi, które jako wyraz władzy i woli Towarzystwa, załatwiają sprawy formalne, sankcyonują działanie Zarządu i polecają mu nowe działanie w interesie szkoły i stanu nauczycielskiego. Gdzie jest Towarzystwo, tam i zjazdy jego potrzebne; idzie tylko o formę tych zjazdów, aby jaknajszersze budziły zainteresowanie, aby jaknajpomyślniejsze przynosiły rezultaty. Właśnie ostatni zjazd galicyjski przekonał, że mniej się nim nauczycielstwo zainteresowało, a zwłaszcza Rusini; że nauczyciele gimnazjalni nie mają co na takich zjazdach robić; że potrzebują one reformy. Ostatni ten punkt, poruszony na wniosek p. Żółtowskiego, wywołał długie i ożywione rozprawy; rezultat ich wprawdzie był żaden, zostawiono bowiem *status quo*, nie mniej przecież widoczną stało się rzeczą, że zjazdy o takim charakterze, jak są dotąd, spowszedniały, że jak Towarzystwo samo przeszło już pewne fazy w ciągłym rozwoju, tak i doroczne jego zgromadzenia, ulegając konieczności postępu, zmianom jakimś uleść muszą. Już dosyć może mają obywatele galicyjscy i sami nauczyciele ostentacji pedagogicznej: potrzebaby może więcej rozpraw, w spokoju i rozwadze prowadzonych, aby sprostować pojęcia do dziś dnia pogmatwane, skoro wszystkie prawie kwestye pedagogiczne w Galicyi są sprawami spornymi, skoro prowincya tę możnaby przeważać mianem kraju ciągłej reformy szkół.

Nie będziemy nudzić szczegółowo opisaniem obrad zjazdu, odbytych w dniu 18, 19 i 20 Lipca. Większa ich część ma charakter miejscowy i formalny postaramy się przedstawić pokrótce poruszone tam; i to ogólniejsze tylko kwestye. Skoro zjazd jest wyrazem Towarzystwa, kontroluje jego czynności i rozwój, wypada przeto przedewszystkiem podać niektóre szczegóły, dotyczące Towarzystwa; to zadanie ułatwia nam *Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Pedagogicznego za czas od 10 Lipca 1882 do 10 Lipca 1883 r.*, z którego czerpiemy. Towarzystwo liczy członków 2.697 w 86 kółkach nauczycielskich, koncentrujących się w 41 oddziałach. Ogólny majątek Towarzystwa wynosi przeszło 28.000 złr. Towarzystwo rozwija energiczną działalność w utrzymywaniu i zakładaniu szkół przemysłowych w Drohobyczu (otworzona r. b.) Jarosławiu, Przemyślu, Rzeszowie, Sokalu i Tarnowie. Na utrzymanie tych szkół, a także szkół żeńskich (w Kołomyi i Stryju) jak niemniej na wydawanie czasopisma „Szkoła“, Towarzystwo otrzymuje subwencya od Wydziału Krajowego. Zarząd Towarzystwa okazał wielką ruchliwość w wydawnictwie książek. Dotychczas wydał już blisko półtora seta publikacji, w ostatnim roku wydrukowano 16 książek, które stanowią 50.000 egzemplarzy. Tu należą przede wszystkim dwie książki odnoszące się do Jana III, zalecone przez Radę Szkolną: *Opowiadanie o Królu Janie Sobieskim* p. Romuald Starkla, — *Ślady Króla Jana III w kraju naszym*, 106 miejscowości w Galicyi, zostających w związku z żywotem dziejowym Jana Sobieskiego p. L. Tatomira, — *Pod Żurawnem*, opowiadanie, napisał Iwan z Berłoh. Z innych książek, tego roku wydanych, wymieniamy ważniejsze: Soleski: Wykład Fizyki, — Nowicki Wł. Na letniem mieszkaniu (XI tomik Biblioteki dla młodzieży); — Żuliński: Wystawa rzeczy szkolnych w Kołomyi, — Książka polska do czytania dla szkół przemysłowych (wyd II). Dr. Freund: Zarys chemii do użytku szkół gimnazjalnych.

Zarząd zawiązał stosunki z towarzystwem pedagogicznym czeskim, co zaś do rozwiniętych starań celem wcielenia Szlązka do Towarzystwa Pedagogicznego Galicyjskiego, sprawa opóźniła się skutkiem trudności formalnych. W sprawozdaniach z czynności oddziałów i kółek spotykamy tytuły rozpraw i odczytów, których naliczyliśmy 160; niektóre z nich dowodzą refleksyjnego zwrotu nauczycieli, gdyż dotyczą obowiązków i zakresu działania tego stanu; inne odnoszą się do ogólnego wykształcenia, jak np. wykłady z literatury powszechnej i polskiej. Zarządy oddziałowe urządziły wieczory muzykalne, odczyty ku uczczeniu pamięci wielkich ludzi, na korzyść burs nauczy-

cielskich; niektóre z takich wykładów wyszły w broszurach, jak np. O „Dziadach“ Mickiewicza, „O życiu i pismach Kraszińskiego“ p. Prof. D-ra An. Kosibę w Tarnopolu. Z tychsamych sprawozdań dowiadujemy się, że niektóre oddziały i kółka żadnego znaku życia nie dawały, inne zaś były bardzo opieszale, ograniczając się na załatwieniu spraw formalnych; oddział trembowelski np. nie miał zgromadzeń dla braku kompletu „zpowodu słoty“!

(Dokończenie nastąpi)

MARYA STÄFFE.

(Dalszy ciąg).

Zima r. 1808 przyszła wczesnie. W Listopadzie już nastał mróz, który ostro ściał ziemię a potem spadł na nią śnieg, odziewając okolice Brunświku pęsepnie smutnym charakterem i psując drogi, co też zaznaczyło się zaraz wypadkiem nieszczęśliwym. D. 23 Listopada nad wieczorem w pobliżu bramy PetriThor podróżny jeździec spadł z konia, który się poślizgnął, a spadł tak nieszczęśliwie, że koń przytłukł mu sobą jedną nogę i trzeba było pomocy kilku ludzi, aby go wy dostać zpod niego. Podróżny, bankier Popper z Wiednia, nie mógł też potem iść o swojej mocy i doprowadzono go już, podpierając, do gospody Michała Stäffe, który struchlał z trwogi, ujrzawszy go w tłumnym otoczeniu, bo ten słuszny, poważny mężczyzna w futrzanej szubie i wydrzej czapce nie był dla niego nieznanym.

Był to znowu książę — był to Fryderyk Wilhelm...

Przybywał do Brunświku na jeden dzień, ale nieszczęśliwy wypadek zmuszał go do zatrzymania się dłużej, bo stłuczona noga nabrzmiała i ruch każdy sprawiał w niej ból. Wezwany lekarz nakazał tygodniowy odpoczynek i nie pozwolił nawet prowadzić chorego na schody do pokojów gościnnych; trzeba było zatem umieścić go na dole, co spowodowało niedogodność bardzo wielką: utrudniało możność sprowadzania sposobem nieznanym osób, z którymi książę potrzebował się widzieć.

A jedna jeszcze okoliczność niezmiernie pogorszyła położenie. Menk spotkał gromadkę ludzi, którzy towarzyszyli przybyciu podróżnego do gospody, i zauważywszy ożywioną rozmowę, zatrzymał ich, wypytał, dowiedział się nakoniec, że jakiś pan podróżny uległ wypadkowi i odprowadzonym został do gospody Stäffe.

To mu dawało sposobność wejścia tam — wejścia jako władza, siła, przed którą musiano skłaniać głowę i licha natura tego człowieka uczuła nikczemne zadowolenie pokazania się tak wobec Maryi. Mówiono, że podróżny był wielkim panem, bankierem, baronem i to cieszyło go tam więcej; nie zatrzymując się zatem ani chwili, skierował się ku gospodzie, do której nie doszedł przecież. Oświecone okno na dole zwróciło jego uwagę; spojrzął wnie, a potem drgnął i podskoczył, przycisnął do szyby twarz swą podłą, śledząc obraz, który wzrok jego przykuwał.

Suty ogień płonął na kominie, mieszając blask swój ze światłem dwóch jarzących świec, które paliły się na stole. Podróżny, jeszcze w pół obrzucony futrem, spoczywał w wielkim, niskim fotelu, trzymając na podnóżku wyciągniętą, bieliną już obłożoną nogę, przed nim zaś klęczała Marya, po której licu płynęły łzy.

A przy tych łzach, jakie były jej oczy! pełne blasku, gorącego ognia, niemal zachwytu... Widać, że tylko co opatrzyła cierpiącą nogę podróżnego i pozostała przed nim na klęczkach, mówiła coś, wzruszeniem uniesiona. Menk patrzył a dzikie uczucie szarpało mu serce, bo Marya była w tej chwili czarownie piękną i miłą, połączona z nienawiścią, targała nim teraz. Ale któż to był ten człowiek obcy, przez przypadek pod

dach gospody Staaffego przed chwilą wprowadzony,—dla którego miała ona takie lzy, takie spojżenia, taką postawę pobożnego niemal uwielbienia?

A on w tej chwili skłonił się ku niej; wyraz jego twarzy okazywał wzruszenie tkliwe, a razem bardzo słodkie, łagodne i prawie rodzicielskiej czułości. Jak ojciec też położył rękę na głowie klęczącej, i delikatnie pogłaskał — pogłaskał parę razy miękkie, wijące się w bujności swojej włosy jasne.

Munk nie mógł wytrzymać tego widoku. Ta pieszczota, z którą biała, piękna ręka wielkiego pana muskała włosy kochanej, a okrutnej dla niego kobiety, doprowadziła go do szalonej wściekłości. Chciał biedz, wpaść między to dwoje i skoczyć do gardła cudzoziemcowi, wołając o papiery, ale z drugiej strony pięką ciekawość przykuwała go do miejsca.—Co będzie dalej?..

Ale nagle drgnął. Blask świec tak padł na podróżnego, że twarz jego, teraz w pełnym oświeceniu, ukazała szczególność rzadkiego rodzaju: brwi siwiejące przy młodej twarzy!..

I teraz stało się też w umyśle Munka światło nagłe. On już widział tego człowieka, widział go w tym domu także, ale wtenczas nie był to wielki pan w futrzanej szubie, spoczywający wygodnie w krześle. Wtedy był to wędrowny czeladnik z Kolonii!..

Żandarm francuzki odezwał się naraz w kochanku i kazał umilknąć zazdrości. Tu była jakaś sprawa podejrzana—było może tak fałszywy baron Popper, jak niewątpliwie fałszywym był niegdyś Jan Franciszek Conring..

I ten ktoś rzucił taki urok na Maryę, że klęcząc owijała jego chorą nogę, potem płakała u stóp jego ze wzruszenia i pozwalała sobie głaskać jego włosy.

Ach! on nigdy — nigdy, nie mógł tknąć kraju jej szaty, jemu-by nie dała podnieść z ziemi jednego, wyczesanego z warkoczów swych włosów! Munk odszedł cichutko od okna i zawrócił się do miasta. Papiery podróżnego były niezawodnie w porządku i teraz, a w takim razie aresztowanie go przechodziłoby władzę brygadiera. Musiał zdać raport wyższej władzy—musiał odnieść się do francuzkiego naczelnika policyi, komissarza Mercier.

Nie zastał go w domu, ale to nic nie znaczyło. Nieznajomy nie mógł ujsć; noga jego rzeczywiście odmawiała mu posługi, bo przecież rozmawiając z Maryą nie mógł podejrywać, że go śledzą oczy czyjes, a jednak chcąc się raz dźwignąć z krzesła, opadł na nie natychmiast. Nie, nie mógł ujsć z domu Staaffego.

Mimo to Munk sprawował straż do północy i przed świtem był już na posterunku. Umieścił się tak, że mógł czuwać z oddali—widzieć, gdyby wywożono kogoś z gospody, a sam pozostać niewidzialnym,—co było rzeczą ważną, bo policya powinna była zejść niespodziewanie, zaskoczyć nieprzygotowanych i niemających gotowego na obronę swą wykrętu.

Ale, na nieszczęście, nie zastał komissarza i wtedy jeszcze, gdy w godzinie już właściwej przybył do niego. Wyjechał na wieś w okolice, ale miał wrócić przed wieczorem.

Munk nie chciał zażądać pomocy sekretarza, który go zastępował, nie chciał udać się do biura prefektury. Postawionoby natychmiast wokoło gospody straż, która-by aż do przybycia komissarza czuwała nad podejrzanym i zarazem dała mu wiedzieć, że podejrzanym został. Sam więc czuwał—czuwał jak skąpiec nad skarbem.

Aż wreszcie doczekał się chwili pożądanej. Ku schyłkowi dnia trzeciego komissarz Mercier w urzędowym stroju swoim: w stosowanym kapeluszu na głowie, przy szpadzie i z szarfą przewieszaną przez ramię, zapukał do drzwi gospody w towarzystwie trzech żandarmów. Dwóch pozostawiono przy drzwiach; komissarz wraz z brygadierem posunęli się dalej, żądając widzenia się z gospodarzem i pytając o pokój zajmowany przez podróżnego pana, który przebywał tu chory. Ostatnie pytanie było czynionem dla formy, gdyż Munk znał doskonale drogę do miejsca, zajmowanego przez poszukiwaną osobę. Odpowiadającą była Marya. Gdy komissarz przystąpił próg domu, wyszła do niego blada, ale spo-

kojna i wskazała kurrytarz, w głębi którego mieszkał bankier Popper.

Z kurrytarza tego wyszedł naraz sam gospodarz i z równym spokojem poprowadził p. komissarza do drzwi, które otworzyły się przed nim natychmiast. Skoro tylko zapukano, głos z wnętrza odpowiedział w tej chwili:—Entrez...i Francuz wszedłszy, ujrzał poszukiwanego przed sobą. Leżał na sofie ubrany, ale noga była nieobuta; czytał dziennik, który położył, gdy głowa obróciła się leniwie ku wchodzącym. Widok komissarza i żandarma wywarł na nim wrażenie — wielkiego zdziwienia jedynie.

Odpowiadał jednak grzecznie na wszystkie zapytania; wymienił i szczegółowo objaśnił interes finansowy dla którego podróżował i tak ani razu nie zająkał się, nie zawałał z odpowiedzią, jak poprzednio wejście komissarza nie wywołało na jego licu ani rumieńca, ani bladoci. — Jest w tem omyłka jakaś, że p. komissarz utrudza tą wizytą siebie i mnie... powtórzył kilkakrotnie, nie zmieniając rysów twarzy.

Mogło tak być, bo nie został zaskoczony znieczeka i nie miał ani przy sobie, ani między rzeczami swojemi nic, coby go oskarżyło mogło. Poetka powiedziała, że tam jest anioł stróż, „gdzie jest kobieta, która kocha ciebie“, i tak też było tutaj. Gdy komissarz z Munkiem stanęli przeddrzwiami gospody, Marya wbiegła tu jak śmierć blada, ale jak gorące uczucie odważna i w oka mgnieniu zgarnęła sobie w fartuszek wszystkie papiery, leżące na stole przed księciem, od którego tylko co wyszło kilku panów z miasta i przyniosło mu rachunki i sprawozdania, które potrzebował przejrzeć. Tylko co wyszli, Michał Staaffe pozostał jeszcze w pokoju i teraz szybko pomógł Maryi, aby wchodzący goście nowi zastali chorego barona Popper, czytającego spokojnie—gazetę.

Czy przecucia, które niewątpliwie istnieją w sercach kobiet, nie są tylko jedną formą ich uczucia, jasnowidzeniem miłości? Przed godziną, czarny ptak, lecący od strony wałów miejskich uderzył skrzydłem w okno pokoiku Maryi i serce jej zabiło niepokojem. Zatrwożyła się dlatego, że miała skarb, który lekka się utracić; dlatego stała się naraz czujną, jak dlatego wierzyła w znaki, w głosy tajemnicze i dostrzegła teraz policyę, zanim ta kazała drzwiom otworzyć się przed sobą.

Komissarz Mercier był człowiek młody i dobrze wychowany; przeprowadził badania grzecznie i grzecznie przystąpił do rewizyi. Munk dokonał jej ze ścisłością najwyższą, próbował chytrze skóry w ściankach mantelzaka, miał futro podróżnego; ale musiał skończyć na tem, że nie znaleziono nic...

Wtedy przysunął się do komissarza i szepnął mu coś do ucha. Przypomnił, że Marya powinna zostać przypoznaną.

Gdy weszła, komissarz został olśniony jej szlachetną powagą. Stała dumna, wzrok jej z pogardą obiegł Munka, i odwracał się potem od niego, jakgdyby nie było go, nietylko w pobliżu, ale na świecie. Komissarz podał jej krzesło, ale nie przyjęła go i on pozostał przed nią stojący. Pierwszem zapytaniem było: czy znała poprzednio podróżnego?

Grom niepewności uderzył w biedną! Czy ten, który teraz nazywa się baronem Popper, postawiony oko w oko z Munkiem, nie zeznał, że już tu był pierwiej? Jej odpowiedź mogła pokrzyżować plan ułożonej obrony, mogła z drugiej strony zdradzić wszystko...

Ale niezmacona przytomność umysłu podszeptała jej cudowne wyjście z trudności. — Który to był dzień, stryju, gdy pan tu przybył? — zapytała śmiało. — Nie pamiętam daty...

— Onegdaj był dwudziesty trzeci... — odparł szybko Staaffe—i Marya już wiedziała czego się trzymać. Tak, onegdaj był dwudziesty trzeci Listopada, onegdaj była Środa i ona dnia tego poznała p. barona — odpowiadała wytrwale i komissarz z widoczną przykrością musiał za grunt swego badania wziąć to, co podawało rzecz w wątpliwość—to że policya widziała ją w parę chwil po przybyciu podróżnego płaczącą u jego nóg... Przy dobrej sławie, której używała, nie było rze-

czę podobną do wiary, aby stosunek, wyraźnie przyjacielski, został zawartym tak prędko..

Gorący rumieniec — rumieniec upokorzenia i wstydu, oblał lica dziewczicy, ale czoło podniosło się jeszcze dumniej. Jej dobra lub zła sława, nie należała tu do rzeczy... ona poznała barona Popper trzy dni temu... to było jej stałą i jedyną odpowiedzią.

Komissarz czuł widać w sercu litość nad torturą moralną, którą przechodziła piękna dziewczyna i zapragnął ukończyć śledztwo zapisaniem do protokołu, że nie nie dowodzi, aby badana ukrywała prawdę; ale Munk, doprowadzony do dzikiego szalenstwa wzgardą Maryi, czuwał nad tem, aby nie wyświadczone jej łaski. Blady, ze świecącymi oczyma, zaczął obrazować scenę widzianą przez okno, jak klęczała, jak patrzyła w twarz nieznanego, jak podróżny gładził jej włosy...

Przy tych słowach bankier Popper, który siedział dotąd blady, ale milczący, zerwał się nagle; zdawało się, że rzuci się na Munka i zamknie policzkiem usta podłe, ale Mercier zapobiegł temu: kazał Munkowi wyjść i czekać go na kurrytarzu.

W oczach Francuza świeciła też wzgarda, uczuwana dla podłego odstępcy, a to już dołało ostatnią kroplę do dzikiego szału, który nim mია. Nie ruszył się z miejsca, co było stawieniem oporu władzy; zuchwałe, dziko szydercze spojrzenie już oskrzało komissarza, że jest przekupionym przez piękne oczy dziewczyny, gdy naraz skoczył od drzwi, przy których się trzymał. Zwitek papieru leżał pod stołem i on go porwał, rozwinął i zaśmiał się...

Był to arkusz welinu zarysowany wzorami rozmaitego rodzaju mundurów piechoty i kawaleryi wojsk austriackich. Przy każdym były odsyłacze i cyfry zawarte w nawiasie.

Dobry Francuz zmartwił się wyraźnie, ale badanie nie mogło teraz zostać zamkniętem. Odnosiło się już w całości do barona Popper, po którego obliczu przeszedł ślad zmieszania, prędko ukrytego. Do jakich to finansowych interessów bankiera mógł odnosić się ten papier?

Zapytany odpowiedział z udaną pewnością siebie, że papieru tego nie zna, że nie widział go nigdy i tylko na chybitrafi przypuszczać może, zkąd się tu wziął? Część drogi odbywał z dostawcą armii austrackiej, kilka razy nocowali w jednym pokoju i przypadek mógł to zrządzić, że papier ten zabłąkał się pomiędzy jego rzeczy.

Mercier zapisał odpowiedź do protokołu, ale oznajmił, że baron jest aresztowany. Nie zabiera go ze sobą przez wzgląd na stan jego zdrowia, ale gospodarza domu czyni odpowiedzialnym za jego osobę do jutra rana.

Może ze względu na Maryę nie zostawił do straży Munka, którego oczy błyszczały teraz dziką radością tryumfu.

Gdy wyszli, głucho milczenie rozpaczy zapanaowało między pozostałymi, bo miała się spełnić rzecz straszna, i to nie przez brak ofiarności ze strony Michała Staaffe. On nie wahałby się przed żadnem poświęceniem, ale poświęcenie to byłoby bezużytecznem, bo daremnem. Mercier zabrał papiery bankiera Popper, a bez paszportu samo przebycie rogatki miasta było już niemożliwością, a poza temi rogatkami leżała jeszcze podróż długa.

Konne patrole żandarmów westfalskich krążyły gęsto po kraju; zatrzymywano podróżnych, nietylko po wsiach i miasteczkach, ale po gościńcach i nawet drogach pobocznych, aresztowano natychmiast tych, którzy się wylegitymować nie mogli i mężczyźni popadli w rozpacz, której przecież poddać się nie chciało odważne serce kobiety. Marya, stojąca zrazu jak skamieniała, nagle podniosła ku niebu ręce, złożone dziękczynnie. Feldner, wyjeżdżający ustawicznie dla zakupów skóry, miał paszport stały, znano go przytem, puszczano swobodnie i woźnica, siedzący na kozle jego bryczki, był człowiekiem wolnym od podejrzeń: on więc, on jeden i jedyny mógł w tej chwili uratować aresztowanego.

Mógł, jeżeli-by chciał—jeżeli kochanek odrzucony spełniłby teraz na prośby Maryi ofiarę, wśród której stawał na grę przypadku młode swe życie? Ale ona nie wątpiła o tem, bo ten

cichy, spokojny i uczciwy tylko człowiek kochał inaczej, niżeli Munk — kochał tak, że ona szła śmiało żądać od niego poświęcenia, pewna że je otrzyma bez pytania: kto jest ten, dla którego miał je spełnić?

Mroczyć się już zaczęło, gdy odważna dziewczyna, w zarzuconym na głowę szalu, puściła się w drogę na drugi koniec miasta: na przedmieście, położone po drugiej stronie Brunświku; ale są chwile, w których siły ludzkie zdwiają się cudownie, i ten cud stał się teraz w jej piersiach. Nim zupełna noc zapadła, Feldner przejechał rogatki miasta, mając na koźle nieznanego mu człowieka.

I Marya nie wiedziała dotąd, kto jest ten, którego ocalała. Kiedy ujrzała nagle nieznanego w postaci nowej dla siebie wielkiego pana, stało jej się nagle światło przed oczyma — poznała, że jest to człowiek, nie z jej sfery, nie z kręgu zamkniętego jej życia i łzy, które ją oskarżyły przed Munkiem, dlatego może polały się z jej oczu, gdy go witała. Serce biednej dziewczyny ścisnęło się żalem głuchym, jak wobec czegoś, co było jak gdyby naszym, a teraz nam przepada, wobec czegoś drogiego, co za wysoko, zdaleko od nas leży. Są uczucia istniejące nam w sercu, choć sformułowanymi, wyraźnie określonymi nie są, i ujawniają nam się dopiero od chwili, gdy się z nimi rozstawać trzeba; cierpienie daje nam dopiero znać, że wkorzeniły nam się w serce, że bez szkody, bez ciężkiego bólu tego serca już ich wyrwać ztamtąd nie można i Marya przeszła przez ten okrutny proces uczuć. Zapłakała też przy pożegnaniu tak, jak zapłakała przy powitanium tego nieznanego, o którego stan, nazwisko, już się teraz pytać nie chciała. Był szlachetny, ważył życie dla sprawy, która była świętą i dla niej, na co więc było jej teraz wiedzieć więcej? Zapomnieć już nie mogła, a tego, co wiedziała, było dość aby jej piękny ideał bohaterkiej mężkości nie zagasił promieni swoich. Może wołała, że jako człowiek pozostał jej nieznanym, bo nie i nigdy nie mogło jej teraz rzucić na niego cieniów, nieodłącznych od rzeczy ziemskich. Czy zaś jutro Munk nie zamknie jej do ciemnicy francuskiego więzienia — było jej rzeczą prawie obojętną, bo ten, którego ocalić od niej chciała, już będzie wtedy daleko: będzie wolny i szczęśliwy...

Fryderyk Wilhelm wyszedł z gospody przeprowadzony przez Maryę tyłami ogrodu, w przebraniu prostego człowieka, nie zabierając nic z rzeczy swoich, — aby nazajutrz rano zniknięcie jego mogło być ogłoszonym jako ucieczka nocna, skrycie dokonana.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dalszy ciąg).

Amerkanka uściśnęła podaną rękę z uśmiechem serdecznego zaufania i wiary. Ojciec wpatrywał się ciekawie w córkę, niemogąc sobie zdać sprawy ze zmiany jej usposobień.

Wieczorem, gdy zostali sami, odezwał się pan Edward.

- Moja Jadziula emancypuje się.
- Poczem to ojciec poznajesz?
- Ameryka cię opanowała.
- Prawda, dużo mnie rzeczy nauczyła Stasia. Zazdroszczę jej energii, namiętności pracy i pola do niej.
- Myślisz ją naśladować?
- Pragnęłabym bardzo.
- Nie myślisz o zamążpójściu.
- Z całego Żurawna nie udały się nam zabiegi; cóż dopiero z jego połowy?

— Dziecko, któż mówi o połowie. Porucznik! — zawołał p. Edward.

Dziewczyna zrobiła grymas niezadowolenia.

— Nie wróci — odparła sucho.

— Niewiadomo; lecz czyż to jeden tylko porucznik na świecie? Komuż to powinno być łatwiej iść dobrze za męża, jeżeli nie tobie?

— Praktyka życia inaczej uczy. Drogi ojcze, nie mówmy o tem więcej, przynajmniej teraz.

Miała łzy w oczach i chcąc je ukryć, poszła do ogrodu.

— Tak głupio zmarnować dwadzieścia pięć lat czasu — szepnął pan Edward. Dziś powinienem mieć sto pięćdziesiąt tysięcy w kassie oszczędności. Pięćdziesiąt oddałbym Ludwikowi, a za sto tysięcy Jadzia miałaby świetnego męża.

XI.

Z podstrzyżoną przy samej skórze, siwiejącą czupryną, o różowawej świecącej skórze, strojnej w granatowe żyłki — porucznik, wysłał wierzchołka do Skawiny, sam zaś pośpieszył za nim wózkami.

Ze Skawiny konno, uśmiechnięty, pełen nadziei zwycięstwa, przejeżdżał obok żurawińskiego dworu, patrząc się w okna z wyzywającą arrogantą. Rad był, aby go zobaczono i zapraszano: rad był bowiem pochwalić się przed Amerykanką, że go ciągną.

Nikt jednak nie wyjrzał, nikt go nie zatrzymał i nie prosił.

Widziała go jedna Jadwiga, lecz nie wspomniała o tem nikomu.

Wieczorem, gdy czerwone słońce zagładało ciekawie przez ciemne gałęzie świerków i smukłe brzozy do żurawińskiego parku, rzucając dookoła blaski purpury, zadudniło na drodze. — Przed werendą osadzili galopujące konie — Amerykanka i porucznik, dumny, uśmiechnięty, promieniejący szczęściem. Na przywitanie wybiegł p. Edward, za nim ukazała się Jadwiga, spokojna, zimna, wyniosła, lecz g. zeczna.

— Porucznik chciał odwiedzić mieszkańców żurawińskiego dworu; korzystałam i ja z tego: i oto jestem — odezwała się Amerykanka i, ująwszy pod rękę Jadwigę, poszła z nią do salonu.

— Nudny — mówiła cicho, a jak *shoking*, jak się śmieje grubo, jak się chwali! A jaki czczy, jak piasek naszej Wisły! Projekt odwiedzenia was, przyjełam z zapałem. Ojciec twój da sobie prędkiej z nim radę, aniżeli mój, który nie ma pojęcia o wojskowości, a tem mniej zna się na przymiotach kawalerii austriackiej.

— Jesteś niewdzięczna — rzekła Jadwiga.

— A to jakim sposobem.

— Bo zdaje się, że porucznik kocha się w tobie. Do salonu wprowadził p. Edward gości. Zwierzenia siostr przerwane zostały.

Porucznik mówił dużo i głośno, lecz czuł w okół siebie chłód. Jadwiga nie zajmowała się nim, pan Edward bawił siostrzenicę, pani Balbina ukazała się dopiero przy herbacie.

Mrużąc oczy, rzuciła zdawkowe słowa powitania porucznikowi i nie zajmowała się nim więcej.

Porucznik uśmiechał się dumnie i rad był z siebie, chociaż spoważniał i zamilkł.

— Zazdroszczą i mszczą się — mówił do siebie, wracając konno do domu. — Radziby mną ponieierać i upokarzać mnie. Ho, znam ja dumę szlachty naszej! Jadwiga patrzyła na mnie zgóry. Lecz musi ona cierpieć... Prawda — piękna, lecz daleko jej do Amerykanki.

Księżyc świecił, srebrne chmury przesuwały się majestatycznie po szafrowem sklepieniu nieba. Porucznik marzył o swej sławie, zazdrości kolegów, piękności przyszłej żony, jej sile, zdrowiu i dalekich wyprawach konno. Śmiał się grubo i bił rękami po udach.

Po odjeździe gości nie miał odwagi wieczora tego zbliżyć się do córki p. Edward. Unikał również rozmowy z żoną, robiąc sobie wyrzuty, że tak prędko, bez zastanowienia, pokazał Amerykankę porucznikowi.

— Czyż nie powinienem się domyślić, że głu-

powi temu zaimponuje siła, okrągłe ramiona i konna jazda tej dziewczyny?

Przerachowałem się. Belcia jedna miała racją — jeżeli nie zna ludzi, to ich przeczuwa i odgaduje.

Jadwiga milczała, p. Balbina mówiła głośno, że nie ma już sił do walki, a mały ich zapas do życia. Z pewną rozkoszą poddawała się cierpieniom, pijąc wodę szczawnicą w swoim własnym parku.

Gucio, nie domyślając się przepołowienia swej fortuny, wyjechał na wakacje z kolegą do Ischl.

* * *

Młoda dziewczyna, dla której energii i chciwości wrażeń nie wystarczało ciche wiejskie życie, każdego prawie dnia dosiadała konia, aby mieć możność zużycia swych sił, aby fantazyi swej dać upragnioną samotność, oczom — szerokie ramy widnokregu, poczucie piękna, zmieniające się co chwila, obrazy, grę światła i cieni, zdrowym płucem — górskie powietrze, nerwom — zapach lasów sosnowych.

Jeździła zwykle daleko, mając za jedyne obrońce rewolwer nabity w olstrzu siodła. Często przeprowiała się przez Wisłę, docierała do Kalwaryi i nieraz późno w noc wracała do domu.

Lud z początku patrzył na te harce z pewnym rodzajem nieufności i podejrzeń.

— Wiatr, co za nią leci, to abo jęczy abo się śmieje, woda się przed nią rozstępuje — szeptały starsze kobiety.

Lecz gdy dziewczyna chętnie zaczepiała ludzi, chodziła do chat, dawała rady, posyłała lekarstwa, często zasiliała pieniędzmi w potrzebie — witali ją uśmiechem radości, a z przerażeniem i biciem serca patrzyli, gdy zjeżdżała ze stromej góry, lub przebywała rwący potok, a kamienie spod nóg konia się usuwały.

W tych-to wycieczkach marzyła głośno, układając plany swych prac na rzecz biednego kraju, który kochała dla jego nieszczęść, a przez miłość do ojca swego.

— Jeżeli w Waszyngtonie potrafiłam być użyteczną, gdzie już tyle jest zrobione: cóż tu, gdzie tyle jest do zrobienia! Byle ludzi znaleźć. Wszędzie ludzie...

W tej chwili jechała drogą wyginającą się w półkole, zasłonięta z jednej strony żywym płotem, wspartym o smukłe topole. Młoda dziewczyna nie widziała ani żywego płotu, ani za nim krzaków jaśminu, gromadek róż i kopców rezedy. Nie widziała białego dworku i otwartych jego okien. Widocznie była zamysloną wyszukiwaniem ludzi do swych wielkich celów.

Obudziły ją tony pięknego koncertu Liszta, wypadającego spod silnych rąk i dobrego fortepianu. Stęskniona za muzyką, stanęła. Tony rozlewały się dokoła, jęczały żalem i tęsknotą, skarżyły się, wpadały w szal namiętności, w basie groziły, aż nareszcie rozlały się szeroką pieśnią.

Mimowoli a raczej bezwiednie, koń niosąc na swym grzbiecie dziewczynę, pod wpływem muzyki, przebył mostek rzucony przez rów przydrożny, i otwartą furtką dostał się na dziedziniec o zielonym trawniku, przystrojonym w krzaki bzu. Tony muzyki, jak wody w wezbranym potoku, płynęły.

Przez otwarte okno zobaczyła młodego człowieka, który ze wzniesioną w górę głową siedział przy fortepianie; widocznie: w muzyce szukał wspomnień lub łagodził wzburzone nerwy.

Skończył gwałtownym akkordem, jakby chciał potargać myśli własne i własne uczucia. Wstał... Odgłos oklasków rąk w rękawiczkach zelektryzował go, obejrzał się, podbiegł do okna.

Koń chrapał, głowę zginał, nogą rozgrzebywał kamyki z piasku; dziewczyna, cała różowa, na widok młodzieńca, uśmiechała się wdzięcznie.

— Muzyka ma dar przyciągania. Słyszac początek koncertu Liszta, niepodobna było oprzeć się, aby go nie dosłuchać do końca, tem więcej, że wykucyca była czarująca.

— Na wstępie komplement. Nie wiem, co z nim zrobić: czy się rumienić, dziękować lub ze skromności zaprzeczać?...

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Przyjąć tylko do wiadomości.

— Czy pani nie raczy spocząć, a jako uprzejmy gospodarz, wystąpię z Koncertem Szopena.

— Można konno wjechać na dziedzińiec męczczyzny, lecz zsiadanie z konia, byłaby to zbrodnia przeciw etykietcie i obyczajom.

Władysław wybiegł.

— Przedstawiam się pani jako dzierżawca tego dziedzińca, dworku, zabudowań i przyległych gruntów.

— A teraz kolej na mnie.

— Chociaż zaledwo od paru dni jestem u siebie, znam panią. Stałaś się pani legendową postacią naszego ludu. Fantazyja jego, na cześć jej pracuje. Kocha panią i boi się jej troszkę.

— Niezawodnie moje dalekie wycieczki...

— I dobroć pani—przerwał Władysław.

— Komplement?

— Za komplement; chociaż w tym wypadku jest prawda. Lud nasz, mimo braku cywilizacji, umie być wdzięcznym i lubi być wdzięcznym. Odwaga pani budzi jego twórczość.

— Bo tylko ja jedna z kobiet w całej okolicy jeżdżę konno.

— Jak ja jeden tylko z męczczyzn.

— Wybornie, każ pan sobie podać konia i odprowadź mnie. Przedstawię go ojcu.

— Z rozkoszą.

— Będę jechać stępo, dogonisz mnie pan.

— Za parę minut.

Amerykanka zawróciła konia—młodzieniec pobiegł do stajni.

— Jestem—zawołał, dobiegając galopem.

— Pan od niedawna zamieszkujesz naszą okolicę?

— Już całe dwa lata.

— I nic nie słyszałam o panu, o jego muzyce....

— O dzierżawcach niewiele jest zwykle do powiedzenia.

— Dzisiaj się jest dzierżawcą, jutro można być milionerem. Lecz człowiek zawsze zostaje ten-sam.

— Milionów się u nas tak szybko nie zdobywa, jak w Ameryce. A i ludzie pod wpływem bogactwa zmieniają się.

— Podstawa charakteru zostaje zawsze tasma. Lecz mniejsza o to. Dlaczego o panu, jako o najbliższym sąsiedzie, nie mówiła mi nic Jadwiga?

Władysław się zarumienił.

— Lecz za to pewno wspomniała o dalszym.

— O kim?

— O poruczniku.

— Koń, na którym siedzę, jest od niego kupiony.

— Winszuję pani.

— Konia.

— Również i znajomości z jego właścicielem.

— Winszuj mi pan przyjaźni tylko z moim Don Juanem. — Poglaskała konia — Nie pojmuję jak człowiek tak mało wykształcony może wychować tak rozumne zwierzę. Rozwiąż mi pan tę zagadkę.

Władysław popatrzał na nią uważnie.

— Czy zadała pani to pytanie swej siostrze stryjecznej?

— Czy sądzisz ją pan zdolną do rozwiązywania zagadek?

— Zdolniejszą od siebie.

— Jesteś pan uprzejmy dla kobiet.

Władysław się uśmiechnął, pochylając głowę.

— Mając w panu tak blizkiego sąsiada, muszę mieć fortepian; on będzie pana przyciągał do Górnego Żurawna. Tak lud nazywa naszą siedzibę. My, Amerykanki, lubimy muzykę, lecz jej nie uprawiamy.

— Nie macie czasu, uprawiając gimnastykę.

— Nie mamy raczej zdolności Polek, Włoszek a nawet Niemek.

— Pani nie jesteś Polką?

— Moja matka była Amerykanką i dużo po niej odziedziczyłam. Polska jest moją przybraną ojczyzną: kocham ją, lecz cóż kiedy na uczuciach skończyć się musi! Spojrzała mu w oczy, jakby go wybadać chciała.

Władysław nie zrozumiał myśli dziewczyny, i chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot zapytał:

— Ciekawy jestem: jakie na pani robią wrażenie Polacy.

— Towarzystw nie poznałam dotąd jeszcze, lecz lud polski jest sympatyczniejszy od naszych Irlandczyków, Hiszpanów a nawet Amerykanów. Jest on miększy; natura słabsza, mniej cywilizowana, lecz zato serdeczność i szlachetne instynkta....

— Leniwy—rzekł Władysław.

— Bo biedny, bardzo biedny, lecz ci, którzy zdobyli dla siebie podstawy zamożności, znają już wartość czasu.

— Brudny.

— Bo biedny — promienie cywilizacji jeszcze nie zajaśniały do ich chat, przez okopcone szybki skien.

— Świetnego lud nasz ma w pani obrońcę—zawołał z uśmiechem.

— Bo mam możność porównań i nareszcie nie stykam się z nim specjalnie w interessach handlowych. Panowie za jaknajmniejszą cenę chcecie wyzyskać jaknajwiększą ilość pracy; gdy on za jaknajwiększą cenę chce dać jej jaknajmniej. Ztąd wyradza się starcie i często wspólna niechęć. Nie może być inaczej. Dla mnie są oni tylko sąsiadami. Żyjemy też posąsiedzku.

— W każdym słowie pani czuć, że krew Anglosasów w niej płynie. Tak mało słów, a tyle w nich racjonalizmu!

— Winne temu jest raczej wychowanie nasze—odparła Angielka z uśmiechem—i nasze społeczne stosunki.

— Nie jesteś pani podobną do naszych kobiet.

Amerykanka, nie wiedząc sama dlaczego, zarumieniła się. Mimowiednie spojrzała na zegarek.

— Śpieszmy się! Dałam słowo ojcu, że o siódmej będę w domu.

Na dany znak koń puścił się galopem. Wiatr szarpał woalkę kapelusza i amazonkę dziewczyny. Koń Władysława, zwinnie i namiętny, starał się prześcignąć spółzawodnika. Wytworzył się mimowolny pościg. Pędzili bez pamięci i uwagi.

Ludzie uciekali z drogi, dziwiąc się — kobiety się żegnały.

W szalonym galopie minęli dwór i park żurawiński. Tentent wpadł przez otwarte okna do dworu i wybiegł goniąc za uciekającymi.

Odgłos ten zelektryzował mieszkańców dworu, używających „farniente“. P. Edward pobiegł do okna.

— Stasia! zdaje się z Władysławem. Koń szpakowaty. Wierzchowiec Władysława szpakowaty?—zwrócił się z pytaniem do Jadwigi.

— Ostatni raz widziałam go na szpakowatym—odparła.

— Ach, wtedy na wycieczce, gdzieś go porzuciła, podając rękę porucznikowi....

Dziewczyna nie odpowiedziała — ognie buchnęły jej na twarz, lecz w tej chwili zgasły.

P. Edward był w tej chwili niezręczny i nielitościwy.

— Amerykanka wydziedzicza cię z twych praw—mówił dalej.

— Raczej znajduje porzuconych przez nas—odpowiedziała spokojnie Jadwiga.

— Porucznika nie porzucaliśmy.

— To też ona go nie znalazła.

— Ale go bałamuci.

— To raczej porucznik stara się zdobyć jej serce; lecz zdaje się, że mu się nie uda.

Pan Edward się zamyślił.

— Jakoś się nam nie wiedzie, moje dziecko—odezwał się po chwili, całując ją w czoło. Trzeba będzie zmienić miejsce, a może....

— Przebacz ojcie, lecz wypraw żadnych nie robię—stanowczo.

— Rozdrażniona jesteś od pewnego czasu, a przecież wiesz, że terroryzować cię nie mam ani siły, ani ochoty.

— Wstrzymajmy konie — zawołał Władysław do Amerykanki. Niebezpieczeństwo nam grozi—droga za chwilę stanie się spadzistą.

— Miałbys się pan bać?—odparła wyniośle.

Za całą odpowiedź młody człowiek podniósł w górę pręcik trzymany w ręku. Konie wpadły na wzgórek i jak huragan stoczyły się na dół. Jedno potknięcie się groziło jeźdźcom i im śmiercią i tylko zdrowym swym nogom zawdzięczały ocalenie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Nowy Wiedeń.—Wystawa elektryczna i rozmaite inne.—*Sobiesiana*.—Wystawa w Gratzu.—Ringstrasse.

Wiedeń, we Wrześniu 1883 r.

(?) Cicho było w Wiedniu, pusto, spokojnie, jakby to był jakiś zapadły kąt poza gościncami wielkiego świata. Po przedmieściach ludęk śpiewał sobie wesoło, tańcował i pił *heurigen*, nie troszcząc się o miasto. Czasem zakotłowało się i w Praterze; ścisł, kurz, a wieczór lampiony, jeżeli się tylko zdarzyła jaka sposobność do... hecy. Z miasta zaś wyniosły się zwierzchnie dziesięć tysięcy, a panowie rajcy miejscy, co mogli to wymyślić, byle jeno zepsuć dobre imię miasta, które niegdyś słynęło z humoru, z wesołości, kiedy było brudnym i ciasnym gniazdem; teraz zaś, gdy się stało wspaniałą stolicą, ani samo z tym porządkiem i świetnością oswoić się nie może, ani też nie przyciąga obcych, tak jak dawniej. Gazeciarze zaczęli też pokpiwać po całym świecie z tej stolicy koltuństwa, która wlecie nie ma żadnego teatru; której sklepy są o godzinie 7 wieczór zamknięte; której hotele, jeżeli się gość zjawi, chcą na tym jedynym zrobić majątek; w której po południu nie jest nie dostanie; której obywatele unikają nowych, jasnych lokali i przesiadują tylko w zadusznych, cuchnących *bajzlach* do 10 w wieczór, bo przed zamknięciem bram trzeba pójść spać.

Wszystko to było prawdą, sam mogę przytoczyć dwa przykłady. Jednej pani, warszawiance, policzono n. p. w hotel garni w rachunku z *dwóch* dni 28 bułek, a za czystą herbatę po 65 centów. Litewska rodzina na początku wiosny zajmowała w hotelu dwa pokoje; do jednego kazała przynieść drzewa i węgli, tym opałem ogrzewano i drugi pokój, lecz w rachunku za dwa dni policzono opał drugiego pokoju osobno — 50 centów. „Towarzystwo dla podniesienia ruchu obcych“, suszyło sobie głowę, czemu ich ściągać, lecz Wiedeńczycy prawdziwi tylko się tem gorszyli. Oni nie chcą ani, żeby kto przyjeżdżał, ani sami nie potrzebują nigdzie jechać. I słusznie, bo niewychylając się poza rogatki, mogą odbywać podróże. Malarze dekoracyjni z teatru dworskiego urządzili perspektywiczną wystawę błękitnej grotty w Capri, prawdziwe arcydzieło złudzenia. W Praterze urządzona jest olbrzymia panorama Egiptu, Kairu, Piramid, o której już raz pisałem. Otóż Wiedeńczycy powiedzieli sobie, że bez tłuczenia się po wagonach kolejowych i hotelach mogą wygodnie w mieście po obcych krajach podróżować. Naprzykład Szani i Szarlota pobrali się i mają odbyć podróż poślubną. Żegnają się z rodziną, wsiadają do tramwaju i udają się do Włoch, prosto do Capri, a wieczorem rendez-vous w piwiarni i dopiero heca i opowiadania o wrażeniach z podróży, a przed godziną 10 do domu. Nazajutrz nowa podróż do Afryki, a wieczorem da capo piwiarnia i takdalej; wygodnie, tanio, zajmująco, bez przerwy w zajęciach i bez deranzowania się.

Marzenia te i ideały, prawdziwie wiedeńskie, zdaje się, spełzną na niczem.

Opowiada jeden turysta, że kiedy dawniej przyjeżdżał do Wiednia, napełniało go uczucie dumy: czuł i widział, że jest jedynym przybyłym cudzoziemcem. Śpiące fiakry i ich konie przebudzały się na wiadomość o jego przybyciu; burmistrz i różne komitety witały go, stolica cała bawiła jego jednego cały dzień; bo zaledwo wieczór nastą-

pił; smutniała, zwieszała głowę, zamykała oczy, gasiła lampy i szła spać. Jadąc tego roku w Sierpniu zdumiał się, widząc w wagonie jeszcze innych podróżnych. Sądził zrazu, że to manekiny, wystawione na ponętę przez *komitet obcych*. Przekonał się jednak, że byli to prawdziwi Anglicy, Turcy i Rosyjanie i wszelaki inny naród. Pełne pociągi przybywały jeden za drugim, hotele się zapełniły, wszędzie wrzawa i tłumy, a oprócz zwykłych śmiertelników i osobne *species*: astronomowie, farmaceuci, artyści, filanimaliści, antykwaryusze, z poddziałem monetarzy, hodowcy wołów i handlarze zboża, profesorowie, maszyniści, chaos i wierzba Babel, a każdy musi sobie radzić, jak może, bo nikt się o nikogo nie troszczy. Co się to stało? Rzecz bardzo prosta, *stało się światło*. Niepomogłyby tuziny rozmaitych wystaw i kongresów; bywały one co roku—i nic z nich. Ale tego roku urządzono wystawę elektryczną i naraz wszystko inaczej się przedstawia; nowa postać rzeczy i nowy duch przyszłego ogarnia. Ulice ożywione, a wieczorem życie nie zamiera, przynajmniej w Praterze. Nawet Wiedeńczycy pielgrzymują do rotundy na wycieczki z obcymi, aby się gapić—wszystko zelektryzowane. Zrazu odbywało się tylko gapienie; im dłużej jednak wystawa trwa, tem uczoność staje się powszechniejszą. Opowiadają, że jednemu młodzieńcowi na wykrzyknik: „Ach, jak mnie zawsze teoczy pani elektryzują“—odpowiedziała Wiedienka: „A ilu koni siłą?“ Ale z początku było inaczej. Kto pierwszy raz za dnia przyszedł do rotundy, doznał niezapomnianego nigdy, upokarzającego wrażenia: gapił się, a nie rozumiał. Nie poważę się utrzymywać, żeby większość publiczności już się tego wrażenia pozbyła. Stawało się tam wobec świata zupełnie nowego, obcego, zagadkowego, tajemniczego, wobec setek tysięcy przedmiotów całkiem nieznanych, o których wczoraj jeszcze szkoły i uniwersytety nic nie wiedziały. Wstyd i zakłopotanie ogarniało, zwłaszcza, jeżeli kto przybył w towarzystwie dam, ciekawych i zarzucających pytaniami: co to są prądy indukcyjne, relais, izolatory, odładowniki, triples i quadruples, telegrafy, fonofony, radiofony, akkumulatory, pantelegrafy, i t. d.—A jeżeli się znalazł usłużny elektro-technik i zaczął objaśniać, dopieroż bieda, bo ani weź, nie człowiek nie rozumiał. A przecież *jutro* każdy stróż domu i każda służąca z temi rzeczami będzie się musiała poznać — i jakos to pójdzie.

Tymczasem gapimy się na same sfinxy, które zpod ziemi wyrosły, czy z nieba spadły i mówią, śpiewają, grają, dzwonią, żarzą się, pioruny ciskają, oslepiają, ciężary dźwigają, kawę gotują, piszą, drukują, rysują, jeżdżą po ziemi, płyną po wodzie—i dobrze, że nie umieją jeszcze myśleć i czuć, bo inaczej to już-by dla człowieka nie nie zo stało; wszystko maszyny załatwiają. Jeżeli tak dalej pójdzie, to w wieku dwudziestym te twory powiększone i obracające się, wynajmą rotundę i urządzą w niej wystawę ludzi, ich drobnych i śmiesznych walk, namiętności, współzawodnictw, z których publiczność maszynowa pokpiwać będzie. Szanowna jaka dynamomaszyna będzie wtedy mieć wykład o upadku rasy ludzkiej, która się wojnami wygubiła i zdziaczała, podczas gdy maszyny stawały się coraz bardziej duchowymi, inteligentnymi, aż też i zapanowały nad ludźmi...

Prawdziwa jednak noc czarownic rozpoczyna się codziennie w wieczór, gdy duchy światła rotundę przenikną i ogarną zewnątrz, a białe promienie, mleczne drogi, przez aleę Prateru płyną. I staje się to naraz w jednej chwili, ciemność zamienia się w jasność, rotunda staje w dyademie, na masztach wykwitają słońca, magiczny urok oblewa drzewa, a przez bramy tłoczą się tysiące ludzi. I teraz inaczej znowu rotunda wewnątrz wygląda. Zimne naukowe apparatusy, instrumenta, maszyny, za dnia poważne i groźne, porwane zostały w wir szalony światła i ognia—życia! Fontanny szumią, muzyka rozbrzmiewa, wszystkie tajemnice stają się dźwiękiem, płomieniem lub promieniem; twarze ludzkie prześwietlone, w tłumie coraz nowych tysięcy nie ma ani jednej brzydkiej kobiety, a każda staje się dziwną, jakąś szczególną; na twarzy każdej odbija się to radość, zadowolenie, to rozmarzenie, to ciekawość, to gorącz-

ka, niecierpliwosć; a już w pawilonikach mieszkalnych to zachwyt nie ma granic—i *pożądliwość*. Te czary, zbytki, błyski, barwy, kwiaty z płonącymi gwiazdkami w kielichu swoim, więziłyby oczy i całą noc. Na szczęście, trzeba posuwać się, bo tłok rośnie i wystawa *gaśnie* o godzinie 11, trzeba wracać. Lecz i powrót odbywa się wśród uroków, wśród demonów jarzących, koło szyn magnetycznych, zwierciadeł, młynków i wagonów, torpedów, koło teatru przyszłości, wśród grozy i żartów, figlów elektrycznych. A maszyny kołaczą, koła obracają się prędzej niż dojrzeć można—słowem: czary. I naraz Wiedeń zapełnił się i zawrzało w nim nocne życie i przebudził się humor.

Śmieją się ludzie, że tych miedzianych, mosiężnych, niklowych, szklanych, olbrzymich i małych, często z drucianych, niby pajęczych nitek utworzonych zagadek nie rozumieją; odwracają się od trucizn, nazywając je elektryczną wódką, która się konserwuje w *bateriach* butelek. Z katalogu wyczytują różne dziwa: modele baterii, budziki—dla urzędów, izolatory z blachą ochronną przed pociskami kamiennymi, ubrania elektrogalwaniczne, podeszwy do butów siedmiomilowych, mankiety, krawaty i *fartuszki* jako części maszyn; wozy, w których tylko właściciel siedzieć może, bo obcych wyrzucają; karabin elektryczny, którego chcąc używać, trzeba mieć w paltoście całe biuro elektro-techniczne; kąpiel galwanoplastyczna, w którą tylko zanurzyć się trzeba, a każdy mąż już za życia może stać się swoim własnym niklowanym posągami.

Cóż za uciecha dla mówców ów aparat, od którego drut trzeba tylko podczas mówienia trzymać w ustach—a rozmowę odrazu stenografuje! W restauracjach elektrycznych dostać można cygaro inkandescencyjne, bęsztyk systematu Jabłoczków, piwo typ IV, syfon model DE 17. Tak się publiczność międzynarodowa zabawia, raduje; niejeden gotów-by uściskać z zadowolenia jaki galwanomotor...

Zdaje się, że światło elektryczne istotnie podnieca wesołość, podczas gdy stary księżyc działa uspakajająco. Przed 300 laty cały komitet wystawy byłby niewątpliwie splonął na stosie. Dzisiaj stało się światło. Ile go jest, tego światła, niechaj da wyobrażenie następne zestawienie: potrzeba wziąć wszystkie światła, które oświetla całe miasto Wiedeń wraz z przedmieściami, skoncentrować je, przerafinować, żeby było czystym, potem pomnożyć ten ekstrakt przez pięć, a otrzymamy ilość światła wystawy. We wnętrzu rotundy jest światło o sile 265,000 świec. Wspaniały jest widok z Kahlenberga na tę wyspę światła, która pływa wśród ciemności nocy, a z której strzelają pojedyncze ogniska promieniste. Każda z wielkich lamp zewnętrznych o sile 4,000 świec rzuca w ciemność świetlany most mgławic białych, mleczną drogę, ogon komety, czy drabinę Jakubową. Po tym moście zaczarowanym tańczą elfy elektro-techniki, a cała ta bajka *tysiącna i druga*, nazywa się dziewiętnastym wiekiem. Księżyc jednak nie wstydi się, ani gniewa, owszem sprzyja; wieczory są pogodne.

Ale trzebaż nam się nieco trzeźwiej w tej wystawie rozpatrzeć i przeciw coś zrozumieć, a przynajmniej od ogólnego gapienia się przejść do szczegółów, dotknąć się tych cudów—intelektualnie, gdyż fizycznie dotykać niewolno i niebezpiecznie.

Żadna stolica nie posiada takiego gmachu na wystawę, jak rotunda z dodaniem galeryi i transeptów, ani takiego otoczenia dla wystawy—jak Prater. W żadnym kierunku myśl ludzka niepracowała jeszcze tak szybko, ani też praca ludzka nie doszła do tak zdumiewających rezultatów w czasie bardzo krótkim, gdyż dopiero od niewiele lat zaczęto się zajmować zastosowaniem elektryczności. Nie wyruguje ona pary ani gazu, gdyż za ich pomocą dopiero można elektryczność wydobyć—albo zapomocą siły bieżącej wody, lub wreszcie prądów powietrza, wiatru. Tę pierwszą siłę na wystawie dają 52 maszyn parowych, 11 gazowych, 1 naftowa, 1 poruszana gorącym powietrzem; najmniejsza ma siłę 1, największa 240 koni parowych, razem wszystkie 1,450 koni. Jedno poruszenie ruchu idzie 18 kilometrów podziemnym drutem od koła młyńskiego, obracanego przez fale Dunaju.

Światło dają: lampy łukowe, których jest systematów 30; są to ogniska szklaną kulą pokryte, a służą do oświetlenia wielkich przestrzeni; lampy innego rodzaju (8 sys.), w których pali się niteczka np. zwęglonego papieru bambusowego, służą do oświetlania pokoiów lub pewnych tylko punktów np. biurka. W kopule rotundy i nazewnątrz rozlewają światło wielkie latarnie morskie, oceanowe reflektory; największą lampę urządził Czesi (Kwizek). Akkumulatorów jest 10 systematów; są to przyrządy w które ładuje się elektryczność. W zasadzie jest już sprawa rozstrzygnięta; można posłać po elektryczne światło za kilka groszy czy złotych, tak, jak po naftę. Lecz zachodzi jeszcze jedna trudność: akkumulatory są za ciężkie i za drogie. Gdyby chciano nowy Ratusz wiedeński oświetlać zapomocą akkumulatorów, to te olbrzymie metalowe musiałyby wypełnić szczerlnie wszystkie rozległe piwnice gmachu.

Niema wątpliwości, że zawzięci wynalazcy znajdą wkrótce na to sposób—ale też wtedy *odrazu* niczem innym świecić nie będziemy. Światło idące od zbiorników jest spokojne, jednostajne, zawsze gotowe. Światło idące od maszyny elektrycznej, popędzanej przez maszynę parową, czasem się miga, zależy od jednostajnego działania poprzedzającej maszyny, a jak ruch maszyny tej ustanie, gaśnie światło, *niema zapasu*. Dlatego to wprowadzenie światła elektrycznego do mieszkań w ogóle należy od wydoskonalenia zbiorników. Kwestya kosztów nie gra zresztą żadnej roli.

Maszyn dynamo-elektrycznych, w których wytwarza się siła i światło elektryczne, jest 150, a systematów 40. Wszystko to łatwo się powie, napisze i wygada—ale pomyśleć: ile w tem tkwi pracy i geniuszu, to głowa zaczyna boleć. I niema narodu, któryby tutaj czegoś własnego już nie przynosił, a narody słowiańskie dotrzymują kroku. Czesi słyną już jako wynalazcy i wykonawcy, a Niemcy łamią sobie głowy na Krizikach i Sedlaczkach; imiona polskie: Machalski, Ochrowicz, Abakanowicz, Warchołowski, Rychnowski, Protasiewicz, są ogólnie znane. Rosyja dostarczyła, począwszy od świeczników Jabłoczkowa, wiele ważnych wynalazków lub ulepszeń.

Oprócz specjalności i nowości, których trzeba szukać i prosić o objaśnienie, ma Wystawa i *specyaty*, w których publiczność nadzwyczaj smakuje, jako to: *intérieurs*, izby telefoniczne, teatr elektryczno-hydrauliczny, sale artystyczne, kolej i okręt elektryczny; wreszcie wszelkiego rodzaju wykłady i experymenta na scenie swojego teatru. Dostać się do tych specyatów niełatwo, nie mam też wcale zamiaru przybierać pozory jakiejś fachowości i niby systematycznie o tych rzeczach mówić; kroniki nie do tego. Raczej pójdźmy wałęsać się po rotundzie i jej odnogach, dajmy się pchać i potrącać lub zatrzymywać — a co nam w oczy wpadnie, co nas uderzy, w czem kto objaśni, lub o czem się przypadkiem dowiemy, to zanotujemy, króciutko, byle się conieco oswoić z temi sfinxami.

Na środku rotundy, pod szczyt jej, bije fontanna na 25 metrów wysoko, a spada olbrzymią kaskadą, niteczkami deszczowemi, naokoło okrągłego basenu. Szumi woda i łamie światło lamp wśród deszczu płonących, a ta gra łączy się z muzyką wojskową. Kto się zmęczył, może tu spocząć, posilić się na zimno lub gorąco, czemś stałem lub płynnem, a nawet bywa, że oszołomieni drzemią sobie tutaj, siedząc; że ich zbudzi tak zwany *Nebelhorn*, którym elektryczność dmie na znak, że niebawem nastanie ciemność. Sądzę, że czytelniczki jeszcze nie doznają tego lubego stanu; więc chodźmy...

„Jak się pani miewa?—Dziękuję, dobrze, tylko bardzo gorąco.—Tutaj także. Burza nadciąga.—To może nam przeszkodzi. —Więc korzystajmy póki czas, może co zaśpiewamy.—I owszem, mam tu Lorelei, dają panu ton...“ I naraz słyszymy cytrę i tenora:—*Ich weiss nicht was soll es bedeuten?* piosenka bardzo właściwa, bo trudno się połapać. On czy ona jest w Korneuburgu — on czy ona w Baden, oddzieleni Dunajem i coś sześciami milami, a rozmawiają z sobą i ona jemu akkompaniuje na cytrze, dla naszej przyjemności. Czy tylko

dla naszej? Powiadają, że jest to *romans telefoniczny*, idealny, niebywały. Nigdy się nie widzieli, a łączy ich... drut i nie zobaczą się, aż chyba po zamknięciu wystawy. Kto wie, może taki stosunek będzie w przyszłości kanwą dla fantazyi powieściopisarzów. Tymczasem musimy przyjąć objaśnienie, że oboje mają na obu uszach telefony, połączone łukiem ponad głową z sobą i z aparatem, tym sposobem mogą się ustrzedz *nietaktowności* podczas muzyki; my ich słuchamy w rotundzie. Taksamo wygodnie, siedząc, słuchamy opery, zdaje się, że to tuż za ścianą się odbywa ta muzyka i kiedy się na chwilę telefon odejmie, spojrzy po sąsiadach zasłuchanych i nie wtedy nie słyszy—ma się uczucie, że się podlega czarom, złudzeniu.

Szeszédziesiąciu wystawców okazało telefony i mikrofony, które z telegrafem idą w zawody. Widząc drobnuteńkie zabawki, mikrofony, które składają się z dwóch kawałków grafitu i sztabki węgla, a słuchając, jak one uderzenie widelca zamieniają w ton organowy — zwykły człowiek nie chce wierzyć i podejrzewa o jakieś oszustwo. Niewątpliwie zostaną wprowadzone te przyrządy w parlamentach. Mówca, którego nigdy nikt nie słyszał i nie słuchał, będzie mówił do aparatu, a słuchacze będą aż uszy zatykać, przed jego grzmącą wymową.

Mikrofon *Protasiewicz* z Warszawy, nazwano tu „muzycznym uchem Dionysiosa”. To już nie idzie dalej; nie potrzeba wcale telefonu do ucha przykładać, lecz w osobnym saloniku wszyscy zgromadzeni słyszą muzykę przeniesioną z kądziś, o kilka kilometrów, a która z lejka metalowego w jednym kącie wychodzi. Słuchałem np. *Ständchen* Schuberta z towarzyszeniem skrzypców, siedząc siedm kroków od lejka. Podobno w Warszawie na odległości 50 kilometrów p. Protasiewicz eksperymentował.

Inny mikrofon, dra Wreden z Petersburga, najprostszy, najtańszy, ma kształt np. jaja, tabakierki, nosi go się przy sobie, a na stacyi przyczepia drucikiem, żeby do niego mówić i przez niego słuchać; przenosi on zarówno dokładnie szept, jak i krzyk, lub muzykę, a tej można także przez torbę metalową słuchać. Można go włożyć do wody i nad nią mówić: on słyszy przez wodę i niesie głos dalej. Nurek może z dna morskiego rozmawiać wygodnie, a chory słuchać w łóżku—operę!

Intérieurs—nazwano wszelkiego rodzaju urzędzenia mieszkalne, okazywane w elektrycznym oświetleniu. Wszelki przemysł meblowy, tapicerski, dekoracyjny, szklarski, niemniej architektura, otrzymują przez zaprowadzenie elektrycznego światła nowego bodźca, nowe motywy są się nastroczają, inaczej trzeba barwy dobierać, inaczej przestrzeniami rozrządzać. Z oczów zwiedzających kobiet można wyczytać co sobie myślą: jakaż to duma być panią domu i serc w tym salonie wspinałym, w którym niema nigdzie cienia, bo lampki są umieszczone wśród firanek, wśród kwiatów, w wodzie aquarium.

Cóż za rozkosz ten budoar z niebieskim sklepieniem, zasianem iskrzącymi gwiazdkami przez Edisona! A ten gabinet mekki, jakież ma zaciszne kąty z otworami, w półświecie! A jadalnie z całą zastawą, a obok kuchnia elektryczna z wszelkimi przyborami, przed którymi kucharki omal nie kłękają—bez przesady, widziałem to. A sypialnie, obok garderoba, łazienka, światło naokoło ścian matowe, poza miękkimi tapetami ukryte. Król Serbski kupił sobie taką; trzeba też na to królów lub bankierów. Jest to słabością Wiednia, żeby cały pokój, wszystko co w nim jest, było stylowe. Kierunek ten utrzymuje się, ale przyjmuje już i cechę praktyczności, a nowe wynalazki są zdumiewające. Maszyny wyciskają na drzewie na drodze suchej i zimnej, zapomocą form stalowych, wszelkie najdelikatniejsze ornamentacje, rzeźby, portrety najdokładniejsze. Nikt-by nawet nie przypuścił, że to nie są dzieła ręki ludzkiej, talentu artystycznego. Prawda, że owe formy w stali artyści robią, rytują a potem się z nich stalowe sztance odlewa.

Są tu salony, pokoje bilardowe, gabinety, czytelnie i t. p., we wszelkich znanych stylach, a w każdym inne lampy, świeczniki np. o ślicz-

nych kształtach kielichów kwiatowych. Modnem jest także urządzenie w salonie osobnych kątów na podwyższeniu o jeden lub dwa stopnie na sposób wschodni; daje to pole do rozległego używania dywanów i wszelkich draperyi. Ależ do utrzymania w porządku takich mieszkań, trzeba dopiero licznej i zręcznej służby, albo też tapicer chyba z domu nie wychodzi. Jest takich „*intérieurs*” dwadzieścia pięć, a między niemi ogród zimowy i przedpokoje. Do oświetlenia mieszkań najlepiej się nadają lampki żarowe Edisona, dające jasno-żółte światło, które się jednostajnie rozdziela, bez wywoływania czarnych cieniów, jak to ma miejsce przy lampach łukowych, które są skoncentrowanym w jednym punkcie źródłem światła. Barwy ciemne zyskują na głębokości, jasne na sile, rzeźby, posągi nabierają dziwnego uroku, niemniej i ludzie.

Elektryczne oświetlenie wywrze stanowczy wpływ na toalety wieczorne i balowe; reszta wymaga studiów dopiero i doświadczenia. Kwiaty żywe i sztuczne czarująco wyglądają. Niemalą ponętą tych „*intérieurs*” jest ta okoliczność, że się tu nikt nie troszczy o systemata lamp, byle one były ładne i nikt nie potrzebuje objaśnień: oczy wystarczają, własny gust i sąd; aż się lepiej robi człowiekowi. To też tu zawsze panuje ścisł, krok za krokiem tłumy poruszają się naprzód.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Horyzont polityczny. — Ciemne plamy i plamki. — Dwa ważne wypadki: Śmierć hr. Chambord'a i zaczepny artykuł w *Nord-Deutsche Allgemeine Zeitung*. — Wrażenie, jakie wywołała we Francji śmierć pretendenta i jaki stosunek zachodzi pomiędzy tym wypadkiem a artykułem gazety niemieckiej. — P. Antoine, poseł Meseński (z Metz) w „*Reichsracie*” niemieckim i Kraszewski. *Similia similibus*... — Jeszcze słowo o wychowaniu kobiet. — Liśca panięskie we Francji. — Zakłady prywatne. — Modna nauka w Paryżu i na prowincyi. — Czy to myśl swojska? — Geneza i pierwszy prawodawca. — Rozumowania i prawdopodobne następstwa. — Słowo o pomniku dla Mickiewicza. — Poeta i wojak. — Kraków i Londyn. — Odysseja konnego posągu Wellingtona. — Poszukiwania celtyckich starożytności. — Książka p. d'Arbois de Jubainville'a. — „Próba katalogu literatury Eposu w Irlandyi”.

Paryż we Wrześniu 1883 r.

(Dokończenie).

Wiadomo wszystkim, kto to był ks. Wellington, jakie były jego zasługi, dla czego przezwano go: *żelaznym księciem*, i jaką czcią otaczali go za życia i po śmierci Anglii. Wellington miał tę szczęśliwą dołę, że mu w Londynie postawiono aż dwa posągi—dwa, najdziwniejszych pomysłów, pomniki. Na jednym z nich zwycięzca zpod Waterloo przedstawiony jest nagiuteńki, jak go matka zrodziła — ale za to w hełmie, i z mieczem w rękę. Dlaczego nagi? tego nikt nie zgadnie — niby Achilles, czy Ajax... A stare Angielki, co-to się wstydzą nawet wymawiać głośno to, co my po polsku nazywamy *spodnie*, przyjęły ze łzami wdzięczności i z uśmiechem niebiańskiej rozkoszy gołego księcia wizerunek... Stoi on i dotąd niewzruszony na swej podstawie i świadczy, iż wszystko zależy od punktu widzenia, w którym się człek postawi — gdy tymczasem jego bliźniak w pełnym mundurze musiał zestąpić z wysokości swej chwały.

Ten drugi pomnik przedstawiał Wellingtona w mundurze feldmarszałka i na koniu — i jak tego pragnął dla Mickiewicza arystokrata polski, snycerz wywindował go, nie na skałę wprawdzie nie Judahu, lecz coś blisko tego, bo na ogromne tryumfalne wrota! Był to pomysł narodowego snycerza, *Cotes'a Wyatt'a*, którego wybrano, nie dlatego że był największym artystą w swym czasie, ale dla tego, że się podjął zrobić *największy posąg w Anglii!*

Dla postawienia tej olbrzymiej bramy, na której Wellington miał jeździć na ogromnym smoku, wybrano w Londynie, jak się stanie zapewne w Kra-

kowie, najstosowniejsze miejsce, przy wejściu do sławnego parku, znanego pod imieniem *Hyde-Parku*; tam naprzeciw *Aspley-House*, pałacu gdzie mieszkał successor Wellington; umieszczono go tak mądrze, że tylko z okien tego mieszkania, można go było oglądać w całości — bo reszta śmiertelnych, patrząca z dołu, widziała tylko, jakby wielką miotłę, — pióra od kapelusza naczelnego wodza...

Dzień solennego wywindowania żelaznego księcia na wielką bramę,—był to prawdziwie dzień świąteczny dla *Cockneyów* Londyńskich. 29 Września 1846 r. kolosalny posąg Wellingtona na koniu, ulany ze spizu armat zabranych we Francyi, opuścił pracownią snycerza Wyatt'a przy ulicy *Harrow Road*. Posąg ten ważył 80,000 funtów, miał 30 stóp wysokości i kosztował blisko miliona franków.

Ceremonia przewiezienia była wspaniała i piękniejsza niż samo dzieło sztuki. Jeden z piwowarów londyńskich pożyczył na ten patriotyczny obchód 20 ogromnych koni, używanych specjalnie do pociągu w angielskich browarach. To stado jakby przedpotopowych potworów, przystrojonych w wieńce, kwiaty i wstążki, wyciągnęło z trudnością sławnego posągu z pracowni i pod dowództwem dziesięciu browarnych furmanów w świetnym stroju, z których jeden był ozdobiony, pamiątkowym medalem bitwy pod Waterloo, powiozło go, wolnym krokiem, na umyślnie na ten cel zbudowanym wozie, ważącym 40,000 funtów, i którego każde z czterech kół żelaznych miało dziesięć stóp średnicy.

Muzyka Gwardyi konnej królewskiej poprzedała orszak; wślad za nią postępowało stu żołnierzy tegoż pułku, za nimi trębacze i stu saperów gwardyi, dalej wóz z posągiem, a za nim—oddział pieszych strzelców, muzyka pułku grenadyerów, a nakoniec pochód zamykał szwadron kawalerii...

Ulice, przez które przeciągał pochód, były nabite ludem. Trzy godziny czasu było potrzeba, na przewiezienie posągu z *Harrow-Road* do *Hyde-Parku*. Przy odjeździe z pracowni byli przytomni: książęta Cambridge i Rutland, księżna Kent, margrabia Londonderry, i wielu innych wysokich dygnitarzy; a zaś Jejmość królowa wdowa, Księżna Pruska, księżniczka Marya i inne świetne panie czekały w *Aspley-House* na przybycie orszaku.

W ośm dni dopiero po tej ceremonii brzydki bardzo posąg wywindowany został na brzydkie, ciężkie, niezgrabne tryumfalne wrota, na których pozostał przez lat trzydzieści, budząc codzienny podziw ludzi, niemogących zrozumieć powodu: dlaczego postawiono Wellingtona na takiej wysokości, gdzie przez lat trzydzieści, nikt nie mógł dojrzeć, za szerokimi gziemsami bramy, nie innego, jak mówiłem, prócz kilku piór zdobiących jego olbrzymi, fantastycznej formy, kapelusze!

Ale, że wszystko mija, i przechodzi na świecie, osłabła też w pamięci ludzkiej i legenda o *żelaznym księciu*, odlanym ze spizu. W roku zeszłym spotrzeżono się, że, te tryumfalne wrota, niezgrabne naśladowanie wrót rzymskich Tytusa, utrudniały niezmiernie ruch nieustający w tem miejscu powozów i ludzi pieszych: postanowiono więc je zrzucić, a posąg Wellingtona, przewieźć na inne miejsce.

Tutaj, jak w Krakowie, wyznaczono kommissyą, której poruczono wynalezienie w stolicy najstosowniejszego na ten koniec miejsca. Do tej kommissyi wchodził: inżynierowie, artyści, lordowie, i t. d. i po gruntownej rozprawie kommissya i publiczność zgodzili się na jedno: że dzieło Wyatt'a było haniebnie brzydkie — a długie poszukiwania przytułku okazały, że w całym Londynie!! nie było odpowiedniego miejsca do umieszczenia tego potwora sztuki rzeźbiarskiej.

Kiedy się ta sprawa nakoniec wytoczyła do Izby Lordów, jeden z excentryków angielskich zaproponował: „aby naprzód oczyszczono ten posąg — albowiem, nie jest to godne Izby Panów, wydawać sąd o nim, w stanie brudactwa, w jakim się dziś znajduje... Na to mu odpowiedział drugi kolega, że propozycja obmycia nie rozwiązuje wcale zagadnienia, bo posąg ten po obmyciu zostanie równie zawałającym miejsce, jak przed ob-

myciem; a więc lepiej jest zawsze, pozostawić go jak jest, i oszczędzić sobie niepotrzebnych kosztów...

Stańto na koniec na tem, że dzieło Wyatt'a osądzono na stracenie: pójdzie ono znowu do tygla, a za otrzymaną w ten sposób cenę metalu odleje się nowy, mniejszy, ale bardziej artystyczny posąg Wellingtona, na pomieszczenie którego łatwo znajdzie się miejsce. Rozgadałem się o tem, bo oto angielski Wellington na równi dziś stanął z polskim Mickiewiczem. Tu i tam konkurs jest otwarty; zobaczmy kto pierwszy stanie u mety... Ostrzegam krakowską kommissyą, aby, korzystając z przykładu, unikała, ile możności, wszelkich skał Judahu i wrót tryumfalnych...

* * *

Często bardzo ważna i użyteczna praca literacka ukrywa się pod skromnym tytułem i formą; szukać jej prawie, wynajdywać ją potrzeba — kiedy tymczasem złe a liche ramoty same wpadają pod rękę czytelnika. Oto jest świeży dowód: przedemną leży, jako dar autora, książka, o której mało kto słyszał na świecie, a w której kryją się przecież wiadomości niezmiernie wagi literackiej, nawet dla nas.

Aby te wiadomości zebrać i uporządkować, potrzeba było wielu lat pracy; ażeby ją drukiem ogłosić, potrzeba było prawdziwego szczęścia, aby się znalazł odważny, jak lew, wydawca. A przecież, jak powiadam, jest to dzieło wielkiej zalety i erudycyi benedyktyńskiej prawdziwie.

Skromny, choć długi jej tytuł, nie uderza uwagi nie ściągając oczu na siebie: „Próba katalogu epickiej literatury w Irlandyi, ze wstępem studium rękopism w języku irlandzkim, przechowywanych na Wyspach Bretońskich i na stałym lądzie — przez H. d'Arbois de Jubainville'a“.

Chociaż epopeja irlandzka znana była uczoneму światu oddawna; chociaż zajmowali się nią w Irlandyi, bezprzerwy prawie, uczeni i publiczność miejscowa: przecież książka p. de Jubainville'a jest jakby nowym wcale odkryciem dla świata naukowego. Dlaczego? bo poraz pierwszy znajdujemy w niej streszczoną całą objętość i ogół tych prac cząstkowych.

„Dowiedziona jest dziś rzeczą, powiada autor, że najstarsze pomniki poezyi irlandzkiej sięgają bardzo daleko i przedstawiają nam bez zmiany, w całej ich pierwotnej czystości, sposób myślenia, uczucia, tradycyi i prawdziwy ideał celtyckiej rasy, w jednej z jej najważniejszych gałęzi“.

Epopeja irlandzka — to jest: ułamki pieśni celtyckich bardów — jest nieoszacowanej historycznej wartości; a ile dziś już wolno jest sądzić, co do swych estetycznych zalet przedstawia niezmierny interes i wdzięk.

Pod względem lingwistyki te stare fragmenta mają pierwszorzędne znaczenie; jest to jakby wielkie i obfite źródło gotowych materiałów i wierny przewodnik wśród tego zagmatwania, które się rozplenilo na tej gwarze, pod napływem czasu i ludów. Niema więc pilniejszego zadania, niema zasłużeńszej pracy, niema godniejszego trudu, nad podróz odkrywczą w tym nowym świecie, którego odnalezienia jesteśmy świadkami.

Pan d'Arbois de Jubainville zajmuje dziś jedno z pierwszych miejsc w pocście uczonych karczołników, idących śmiało na zdobycie złotego runa, w tym wiecznie zielonym, poetycznym Eryniei Jego książka, jest to jakby ów stary *portulan* pierwszych żeglarzy normandzkich; jakby pierwsza geograficzna karta, przeznaczona do wskazania prostej a wiernej drogi tym, którzy się puszczają na pielgrzymkę do owej nieznannej ziemi. Tak, zaiste, jest to najdokładniejszy, najpełniejszy przewodnik i wskaźnik tych wszystkich cząstek i ułamków poetycznych, które nas doszły z dawnej

starej pieśni — zapomnianych dziś, bohaterskich przodków, ze starego irlandzkiego eposu.

Zebrałe te cząstki i podzielone naprzód, każda według cyklu, do którego należy ze swej treści, i według epoki, do której zdaje się odnosi — do każdej z nich dodane są jeszcze wskazówki rękopism, w których się one znajdują — z dołączeniem krótkiej wiadomości o wydaniach i tłumaczeniach tychże rękopism, jakie dokonane gdzie i kiedy zostały.

Jest to olbrzymia a tak żmudna praca, że i najcierpliwszego zrazić potrafi; ale pożyteczna jak żadna!... oszczędzi ona na przyszłość trudów i poszukiwania dla wielu i skróci całą tę długą drogę, jaką musiał przejść autor.

Dodajmy jeszcze, że obszerny wstęp do tego katalogu jest niemniej ważną i pożyteczną częścią dzieła. Znajdujemy w nim poraz pierwszy szczegółową wzmiankę o wszystkich rękopismach, przechowywanych na Wyspach Bretońskich lub na stałym lądzie, w których się znajdują teksty albo nawet pojedyncze wyrazy irlandzkie, zamieszczone w rękopismach łacińskich.

Wiadomo dziś z pewnością, że wiele z tych pojedynczych wyrazów, rozrzuconych po rękopismach kilkudziesięciu bibliotek, sięga czasów VIII lub IX w. i są one jakby świadectwem pracy tych niezmordowanych średniowiecznych pionierów, którzy pod nazwiskiem *mnichów szkockich*, idąc w ślady św. Kolumbana, po całej Europie roznieśli pochodnię oświaty.

Z tego, com tu powiedział treściwie, czytelnicy przekonają się łatwo, że dzieło to jest użyteczne i ważne, a zasługa pracowitego autora staje się tem większą, iż, cichy i skromny, szukał on jedynie sposobności, aby oddać publiczność usługę literaturze, udzielając szczerą i hojną ręką skarbów, zebranych długą i ciężką pracą, a które kto inny na jego miejscu zachowałby skrzętnie dla własnego użytku.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— Szkoła Ogrodnicza dla kobiet zostanie wkrótce otwartą w Warszawie skoro tylko ostatnie formalności urzędowe załatwionemi zostaną. Program szkoły odpowiada najzupełniej programowi męskiej Szkoły Ogrodniczej przy Ogrodzie Pomologicznym i nauka udzielana będzie przez tychsamych, co tam, nauczycieli. Kursa będą dwa: niższy i wyższy, każdy trwający lat dwa. Po ukończeniu obydwoh dopiero patentu udzielane będą. Szkoła jest przeznaczona dla kobiet pewnego już wykształcenia i wykłady jej wedle tychże warunków ułożone będą. Wiek uczennic nie może być niższym od skończonych lat szesnastu. Ogród, gdzie nauka praktyczna udzielana będzie, odpowiednio obszerny, położony jest niedaleko od środka miasta, w pobliżu ulicy Marszałkowskiej.

— Włoskie kobiety należące do stowarzyszenia Czerwonego Krzyża, oddały wysokie usługi nie szczęśliwym mieszkańcom Ischii. Nietylko księżna Ravaschieri, stojąca tu na czele, ale i inne panie, poczynając od najpiękniejszej arystokracji podjęły dzieło miłosierdzia z takim poświęceniem własnej osoby, że król zamierza ozdobić odnaczające się między niemi orderem Ś. tych Maurycego i Łazarza, któryby w takim razie zajaśniał po raz pierwszy na piersiach kobiety. Prócz księżny Ravaschieri, która pierwsza stanęła do pracy, zwołując stowarzyszenie, dzienniki włoskie wymieniają tu signory: Mezacarpo i Palamo. Panie stowarzy-

szczenia mieszkały przez czas stosunkowo długi w drewnianych barakach, wzniesionych naprędce w Casamiccioli rozdzielając między nieszczęśliwych odzież i pożywienie. Obecnie panie te zajmują się dostarczaniem roboty na zarobek ubogim Ischiotkiom, szczególniej przędzenia i szycia, na co komitet przez nie zawiązany używa funduszów. Oddział tego komitetu istnieje w Paryżu; składają go Włoszki tam zamieszkałe; należy do niego czynnie Ristori i śpiewaczka Wirginia Marini.

— Przyjęcie do zgromadzenia adwokackiego w Turynie signory Lidii Poet, wywołało tam, jak wiemy, gorące spory, wskutek czego dwóch znakomych adwokatów miejscowych: Chiaves i Spantigati, usunęli się z Rady Nadzorczej stowarzyszenia adwokatów. Otóż współkollega tych panów i osobisty przyjaciel obydwoh, adwokat D'Arcis wystosował do nich list otwarty, usiłując dowiedzieć, że się dali unieść uprzedzeniu, które nie powinno trwać długo. Signorina Poet skończyła chlubnie wydział prawny w Uniwersytecie Turyńskim; przyznano jej tytuł naukowy doktora obojga praw, nie godzi się zatem zagradzać jej drogi pracy, którą zdobyła sobie przez naukę, nie niższą od posiadanej przez mężczyznę tego zawodu.

— Portrecistka hollenderska, Teresa Schwartz należała do sędziów Wystawy Amsterdamskiej, naturalnie, w wydziale sztuk pięknych. Pierwszy to raz kobieta spełniała funkcję taką.

— Angielskie Stowarzyszenie dla postępu Umiejętności przypuściło oddawna kobiety, tak do grona członków, jak do dorocznych swych obrad i w tym roku stowarzyszenie, zebrane w mieście Southport, liczyło również kilkanaście kobiet, a prezydent oddziału inżynierii i mechaniki, Brunlees, zdając sprawę z postępu umiejętności w tym kierunku, zaznaczył ten fakt, że jakkolwiek dotąd żadna kobieta nie szukała pracy w zawodzie inżynierskim, nie oznacza to przecież braku potrzebnych zdolności umysłu, bo oto naczelny inżynier przy budowie sławnego wiszącego mostu w Brooklynie, w Ameryce, należącego do najznakomitszych dzieł naszego wieku, pułkownik Roebing zeznał że w czasie długiej jego choroby roboty były prowadzone przez talent, przemysł i energią jego żony, która posiadała dość teoretycznych i praktycznych wiadomości, aby roboty były dobrze wykonywane według jego planów.

— Według cyfr statystycznych zebranych w 1882 roku, jest obecnie w Niemczech 1.909.540 wdów, w tej liczbie zarabiających na swoje utrzymanie, przez stale prowadzone zajęcia, jest 856.925; niezajętych żadną pracą, zarobek przynoszącą, albo pracujących dorywczo, bez stale obranego zawodu jest 1.150.000. Wdów żyjących z procentu od kapitału lub pensyi stale pobieranej, jest tylko 8.648. Kobiet zamężnych jest w Niemczech 7.719.362, zatem na cztery mężatki przypada jedna wdowa. Późne żenienie się mężczyzn z kobietami zwykle młodszemi znacznie, wytwarza stan ten smutny.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 4-ty powieści pod tyt.: *Książęce gniazdo*.

TRZĘŚĆ. Do... (poezya), przez M. Ilnicką. — Marya Stäffe, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Korrespondencja zagraniczna, (Wiedeń). — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Октября 1883 года.